Nr. 40. We Lwowie dnia 1. Października 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI
* 22 czerwca 1825 † 18 września 1899.

MOMENT.

NOWELA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

Słońce letnie zachodziło; pole, powietrze i niebo były zupełnie ciche. Cicho od zorzy wieczornej odrywały się i po błękitnem sklepieniu płynęły obłoki złotawe i różane; cicho na wzgórzystem polu kwitły, wśród brunatnych owsów, łubiny ogniste i gryki śnieżnie białe; ciszę powietrza haftowały grubszemi i cieńszemi tonami brzęczenia owadów i świegot ptactwa w dzikich gruszach, na miedzach. Ani najdalszego choćby gwizdania lokomotywy, ani tego turkotu i szumu, który, jak burzę grzmot oddalony, z oddalenia oznajmia wielkie zbiorowisko ludzi: ani nawet na polu pługów i oraczy, bo dzień był świąteczny.

Pusto i cicho.

Oprócz przyrody świeżej, wonnej, ukojonej spokojem pięknego wieczoru, nic.

Szmat ziemi pełen wdzięku, lecz bezludny i drzemiący; zakąt świata głuchy, od miejsc jego hałaśliwych i świetnych bardzo odległy.

Jednak na polu, biała wśród zbóż brunatnych i żółtych, wiła się między wzgórzami droga, prowadząca... dokąd? Trudno byłoby zgadnąć, bo mogło się zdawać, że ku jakiemuś chyba skrajowi świata, na którym kończy się ludzkie życie. Ale ludzkie życie buduje sobie często mrowiska zaledwie widzialne i tak podobne do śmietnisk, że zbliska zobaczyć je trzeba, aby spostrzedz, że są i że napełniają je istoty żyjące.

Do takiego mrowiska wiodła biała droga, wijąca się pośród wzgórzy i zbóż. Jak szklanym kloszem czystym i przejrzystym, ciszą pola, powietrza i nieba otoczone, stało tam małe miasteczko, szare, niskie, podobne do śmietniska.

Uliczki ciasne, z niskiemi, poczerniałemi domkami, z rzędami okienek, wyglądających jak mętne oczy w oprawie zestarzałej, wrota otwarte na podwórka, wybuchające zaduchem, głosami zwierzęcemi i wrzawą dziecięcą. Środkiem uliczek pasy czarnej grudy; to błoto, ścięte przez upały letnie, a z obu stron jego ścieżki, podobne do drożyn, któremi chadza twarda bieda i szara ciemnota. Gdzieniegdzie, wśród szarzyzny, płot nowy, świecący jaskrawą żółtością, albo brzoza z obwisłemi gałęźmi, wierzba z ramionami powykręcanemi, grusza rozłożysta. U płotów gnijących lasy dzikiego zielska. Tu i ówdzie rudery, belkami sterczącemi w powietrzu i kominami nagiemi, przypominające kości ogołocone z ciała.

Ludzi mało; kiedy niekiedy zaledwie przechodzień, twardą ścieżką przesuwający się pod płotami i znikający w cuchnącem podwórku. Trochę psów chudych i smutnych, które leżą u podwalin domów, albo wałęsają się od podwórka do podwórka, zaglądają do ruder, szukając żeru. Głosy tylko dzieci i zwierząt, gdzieniegdzie także ptaków: kur, wróbli, lecz rozmowy nie słychać żadnej. Możnaby myśleć, że tu nikt nigdy nie rozmawia. Okienka domów zamknięte, pomimo, że dzień był upalny, a wieczór jest bardzo świeży, wszystkie one są zamknięte. Możnaby myśleć, że tu nikt nigdy żadnego okna na świat nie otwiera.

Brudno i ciasno, smrodliwie i bezludnie.

Nad szlakami czarnej grudy zdają się przeciągać powietrzem i na sterczących ruderach zawieszać się chude widma snów leniwych i niezdrowych. Tylko nad omszałemi dachami wzbijają się ku niebu wstęgi dymów przezroczystych, tak, jak płynące po niebie obłoki, różanych i pozłacanych. Te lotne wstęgi wziąć można za westchnienia, posyłane przez dusze ludzkie ku wysokościom, z nędznych legowisk, na których tarzają się ciała. Tylko u skraju uliczek, tuż przy polu, trochę domków małych, lecz nieco nowszych, świeższych, weselszych, niż tamte. Z za szyb drobnych uśmiechają się one barwami kwitnących pelargonji, a z za płotów jaskrawemi twarzami malw i georginji.

Tu gęściej rosną drzewa, częściej na podwórkach gwarzą głosy ludzkie, psy są żwawsze i mniej wychudłe, lecz w jednem miejscu dzieje się coś ponurego. Okna jednego z domków, przy niezgasłem jeszcze świetle dziennem, błyskają płomykami palących się świec i wychodzą z za nich odgłosy pieśni basowych i głębokich. Te palące się świece — to gromnice, a te pieśni — modlitwy, wyśpiewywane nad umarłymi. Słychać też tam płacze kobiece i w ogródku widać człowieka barczystego, który siedzi na ławce z wielką twarzą tak zmartwiałą, że ma pozór rzeźby, wykutej w szarym kamieniu. Ściśnięte pięści, także jak kamienie, leżą mu na kolanach.

Tu, pomiędzy malwy i georginje, w wonnych oddechach poblizkiego pola, zleciała śmierć.

Wszystkie uliczki, jak ciemne strumienie do mętnego stawu, zbiegały się do przestrzeni okrągłej i dość rozległej, otoczonej domami nieco większemi, nowszemi nad tamte, usiłującemi też naśladować dworki wiejskie: posia-

dały małe ganki na słupkach, drzewa u ganków i kwiaty u okien. Tylko że drzewa i kwiaty miały pozór zwiędły, a na gankach leżały słomy zmięte, szmaty papierów i płócien podartych, drzazgi, niedopałki, różne odpadki bez kształtu i nazwy, z izb, z wozów podróżnych, z pudeł kupieckich, z rąk przechodniów tu wyrzucane.

Nie tylko tu, bo zaścielały chropowatą powierzchnię rynku wszędzie, kędy tylko na drodze nie stawały im kałuże. Bo nadaremnie upalny lipiec, przechodząc świat, wysuszał wszystkie wody, te nie ustąpiły przed jego słoneczną pochodnią i stały bez ruchu, bez połysku, podobne do szczelnie zamkniętych i mętnych domostw, które otaczały rynek. Za to ganki tych domostw były pełne rozmów, targów, sprzeczek, postaci ludzkich, niezgrabnie ubranych, grubych, szarych, które przed końcem dnia usiłowały kończyć grube i szare sprawy codzienne.

Znać było, że w tem miejscu puls miasteczka uderzał najsilniej, i to także, że roznosił po organizmie krew zgęstniałą i niezdrową. Jak na uliczkach powietrzem wlokły się i na ruderach się zawieszały sny leniwe, tak pomiędzy tymi ludźmi, na rynku, czuć było uwijanie się skrzętnych, wykrzywionych, gadatliwych widm biedy, zarobku, chciwości i zysku.

Pośród zaś rynku było miejsce zupełnie do wszystkiego, co je otaczało, niepodobne, jedyne; kościół niewielki, bardzo stary, od starości głęboko poczerniały, z wązkiemi oknami, w których zorza wieczorna zapalała płomyki rubinowe, ze szmaragdową zielenią trawnika i czystą białością ścieżek, z przeźroczystem ogrodzeniem, nad którem odwieczne lipy rozwieszały gałęzie szerokie i silne. Tu panowała czystość niepokalana, rozlewał się spokój taki, jak na przestronnych polach, łagodnie szemrały liście lip, od ziemi biły wonie ziół, kwitnących w trawach. Tam zaś, gdzie rozstępowały się nieco stare lipy stał wyosobniony, całą przestrzenią trawnika z kościołem rozdzielony, bardzo wysoki krzyż. Bardzo wysoki a cienki, linją delikatną i przeczystą przebijał powietrze, pełne kurzawy i wrzawy, ramiona rozpościerając na tle różanych świateł, które z zachodu płynęły po błękicie. Wzrok, dążący ku szczytowi jego, wznosić się musiał bardzo wysoko.

Jedyny to był wśród powszechnego pełzania wysoki wzlot. Jedyny tu także dom ze ścianami błękitnemi i ze świeżemi kwiatami w ogrodzie, w pobliżu kościoła i krzyża, rozlegał się z za otwartych okien głosami dzieci, które mówiły o czemś, czegoś uczyły się i nagle, zaczęły mówić chórem. W powietrzu rozległy się i ze szczytu wieży kościelnej rozlały się po miasteczku dźwięki dzwonu łagodne, czyste, wołające. Za oknami plebanji, razem z muzyką dzwonu, głosy dziecinne chórem mówiły:

— Anioł Pański zwiastował...

Było to w tej chwili jedyne tu miejsce w którem usta ludzkie wspominały o Anielskich Zwiastowaniach...

Dzwon kościelny umilkł, natomiast, w oddaleniu, dało się słyszeć inne dzwonienie. Przybywało z pól szerokich i wpadało we wrzawę rynku, zrazu tak niewyraźne, że można je było wziąć za jęk przestrzeni lub za coś takiego, co z przestrzeni nadlatywało jęcząc. Potem stawało się coraz bliższem, wyraźniejszem; parę osób na rynku słuchać zaczęło. Dzwonek pocztowy! Ktoś do miasteczka przybywa pocztą! Jakoż, niebawem, na rynku ukazała się lekka karetka, w cztery konie zaprzężona. Na koźle, obok pocztyljona z blachą u piersi, siedział lokaj w liberji.

Wielkie wrażenie na rynku! Kto to? po co? Czy się zatrzyma? Gdzie się zatrzyma?

Mendel Szapir i Chaim Cygler, właściciele dwu jedynych tu domów zajezdnych, przez mętne szyby ścigali karetkę oczyma niespokojnemi. Konkurencja i przytem — kareta, zjawisko bardzo rzadkie! Szapir uśmiechnął się, bo zobaczył na koźle pocztylijona znajomego. Ten pewnie gościa tu przywiezie.

Nie omylił się; karetka przed jego domostwem stanęła. Lokaj zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki, w których ukazała się kobieta z powierzchownością bardzo wytworną.

Czy była piękną? trudno było odrazu rozpoznać, tak wydawała się zmęczoną i cierpiącą. Wśród twarzy bladej, z cerą bardzo delikatną, wielkie oczy z różową u powiek obwódką zdawały się patrzeć nie widząc, pod zsuniętemi brwiami ponure i przygasłe. Bardzo powoli wstępowała na kilka schodów ganku, zlekka szeleszcząc miękką suknią, za którą z przykrym chrzęstem zaczęły się ciągnąć uschłe słomy i zmięte szmaty papieru. Ruchem zupełnie machinalnym podniosła nieco suknie i obejrzała się za siebie, przyczem wielki brylant w kolczyku rzucił snop tęczowych promieni.

Szczupły i zwinny Mendel Szapir, z twarzą nerwową, z cicha zapytywał pocztyljona:

— Kto to?

Z kozła odpowiedź brzmiała:

— Nie wiem. Zdaleka jedzie!

— A dlaczego nie zajechaliście na pocztę?

— Bo będzie nocować.

Wtedy właściciel zajazdu zwrócił się do stojącej na ganku żony:

— Ruchla! Będzie nocować!

A Ruchla z kolei, oglądając się na kogoś będącego w sieni, zawołała:

— Gitla! pokój gościnny zamiataj!

Rozkaz szybko spełniono, bo przybyłą spotkała w sieni chmura kurzawy, wznosząca się

z pod wielkiej miotły, energicznie poruszanej przez dziewczynę niedorosłą, chudą, śniadą, w nędznej odzieży, z ogromną kosą czarną na pochylonych plecach. Miotła, z przeraźliwym szelestem skrobiąc grubą podłogę, podnosiła kurzawę coraz gęstszą, krztuszącą, ludzie wyglądali śród niej, jak niewyraźne widma. Jedno z tych widm, ze słodkim uśmiechem w głosie, przemówiło:

— Niech jasna pani posiedzi sobie na ganku, nim pokój wymiotą: Pogoda taka piękna!

Drugie odpowiedziało:

— Proszę pozwolić mi wejść. Niech pokój zostanie, jak jest. Wszystko mi jedno.

D. c. n.

Szkice z nad Niewiaży.

7)

W 1863 r. cerkwi parafjalnych było 12, filjalnych 5, oraz 2 klasztorne, obecnie zaś mamy parafjalnych 32, filjalnych 2, klasztornych zaś 2. Oprócz tego istnieją cerkwie przy gimnazjach męskich w Kownie i Sławkach, oraz przy żeńskiem w Kownie, a przy seminarjum nauczycielskiem kaplice. Istnieją też dwie cerkwie domowe.

Ilość ludności prawosławnej wynosiła w 1845 r. 9853 mężczyzn i 8925 kobiet, razem 18.778 osób; tu należy nadmienić, że te liczby są bardzo mało prawdopodobne, albowiem w ich poczet wliczano wojskowych prawosławnych, pozostających na służbie czynnej; na poparcie tego zdania przytaczam fakt następny: w Poniewieżu jest 1532 mężczyzn prawosławnych i 269 kobiet, a tymczasem w mieście oprócz urzędników i ich rodzin, oraz wojskowych prawosławnych prawie nie ma. Dalej ten wniosek potwierdza niemożliwy stosunek liczebny kobiet do mężczyzn, zwłaszcza w Kownie, albowiem kobiety stanowią zaledwie około 15% ogółu ludności tego wyznania! Wogóle dopiero ogłoszenie rezultatów spisu ludności z dnia 9. lutego 1897 da jakiekolwiek bądź dane, przybliżone w tej kwestji, albowiem na ich ścisłości polegać nie można; działy się nadużycia, acz u nas nie liczne. Co do kwestji rozpowszechnienia sie prawosławja wśród innych wyznań — to ze źródeł urzędowych wiadomo, że od 1894 r. przyjęło prawosławje 150 osób wyznania katolickiego i 1 kalwin; w ostatnich latach było tylko kilka przykładów przejścia na wyznanie wschodnie kobiet zamężnych za prawosławnymi. Po wypadkach 1863 r. zwrócono pilną uwagę na t. zw. Filiponów, czyli odszczepieńców od Kościoła prawosławnego, których liczono około 30.000 osób płci obojga; znaczna część ich osiedliła się jeszcze w XVII. stuleciu, uciekając od prześladowań religijnych. Wszyscy oni należą do sekty, nieuznającej kapłaństwa, zwanej pomorską lub tłómaczeniem mnicha Filipa — stąd ich nazwa. Ich wierzenia religijne były zawsze surowo prześladowane, ale zachowali je oni oraz swój język i obyczaje, chociaż wszyscy znają język polski i mówią nim poprawniej nawet, niźli ludność ściśle miejscowa, litewska. Po powstaniu w drodze administracyjnej zrobiono im znaczne ulgi, n. p. pozwolono wznosić domy modlitwy, byle tylko nie miały pozoru świątyń, ale starano się usilnie o ich nawrócenie nie na prawosławje wszakże, ale na t. zw. »jedinowierje«, t. j. coś w rodzaju unji z prawosławiem. Bliżej nie określam tej unji, bo to mało kogo obchodzi, podkreślam tylko, że te usiłowania wydały skutki marne: nawróciło się około tysiąca ludzi, którzy dziś stanowią 3 parafje odrębne, t. zw. »jedinowierczescije«, Urzędownie »jedinowierców« liczy się 716 osób płci obojga. Wiem o jednym wypadku przejścia na to wyznanie: pewien szlachcic, katolik, przełajdaczywszy wszystko, co miał, przyjął »jedinowierje«, by zostać strażnikiem policyjnym; jestto potomek niegdyś zacnej i uczciwej rodziny. Jedinowiercy korzystają z tego samego stanowiska uprzywilejowanego, co i prawosławni, gdy natomiast inni filiponi są prześladowani, zwłaszcza od niedawna. Za rządów Aleksandra II. cieszyli się oni tolerancją; prawo z r. 1874 ustanowiło nawet dla nich cywilną registrację ludności, ale faktycznie u nas nie było prawie wykonywanem. Nie sarkano jednak na to, bo tylko bardzo niewielu z pośród filiponów szło o uprawnienie związków małżeńskich, ale większość obchodziła się bez tego. Wierzeń religijnych nie prześladowano jednak, dozwalano też nabywać na własność ziemię po za obrębem miast i miasteczek. Zmieniły się jednak okoliczności, gdy około r. 1887 powiał silny prąd reakcyjny: wnet kazano usunąć krzyże z modlitewni, wzbroniono stawiać nowe lub odnawiać stare, nareszcie zaprzestano im wydawać świadectwa na kupno ziemi, przyrównując ich pod tym względem do

ludności polskiej. Nie obyło się też i bez gwałtów, gdy w Poniewieżu do domu modlitwy przybito krzyż; sprawnik miejscowy kazał go zrzucić policjantom, ale nikt z policjantów (prawosławni i katolicy) nie odważył się wykonać tego rozkazu; wówczas sam sprawnik wlazł po drabinie, zerwał krzyż, rzucił go na ziemię, zlazłszy zaś, splunął nań i przydeptał nogą w obecności kilkudziesięciu filiponów i uszło to bezkarnie, acz działo się w 1887 r! Wogóle filiponi stanowią warstwę ludności, z którą administracja miejscowa ma bardzo dużo kłopotu. Liczba ich zmniejszyła się znacznie: w czasie epidemji ospy śmiertelność wśród nich wynosiła przeszło 30%, albowiem ani jeden z filiponów nie ma ospy zaszczepionej: szczepienie ospy uważają oni za »piętno antychrystusowe«, za grzech śmiertelny. Liczą ich obecnie około 27.000; w ostatnich czasach wśród nich zaczyna krzewić się anabaptyzm.

Przed powstaniem ilość Rosjan, stale zamieszkujących w kraju, była bardzo nieznaczna: kilkunastu właścicieli ziemskich, obdarowanych dobrami ziemskiemi po wypadkach 1831 r., kilkunastu czy kilkudziesięciu urzędników różnych stopni, garstka nauczycieli i duchownych, kilku kupców — ot i wszystko, nie licząc wojskowych i straży pogranicznej. Już w r. 1862 urząd gubernatora zajął Rosjanin, po usunięciu Chomińskiego, wice-gubernatorem był też Rosjanin, ale naczelnikami poszczególnych gałęzi administracji byli Polacy; ówczesne sądownictwo w znacznej części złożone z osób, wybieranych przez sejmiki szlacheckie było niemal wyłącznie polskiem, tak n. p. w r. 1862 tylko był jeden wyższy urzędnik Rosjanin, mianowicie prezes sądu karnego w Kownie. Wogóle co najmniej $^4/_5$ ogółu urzędników stanowili Polacy, a posady niższe były wyłącznie zajęte przez nich. C. d. n. *J. Syrokomla*

BRACIA MAŁEGO MOWGLI

przez **Rudyarda Kiplinga**.

Przekład z angielskiego.

(Dokończenie).

— Braciszku — rzekła — połóż mi rękę tutaj.

Mowgli wyciągnął silną, opaloną rączynę i pod jedwabistą brodą pantery tam, gdzie potężne muskuły pokrywała szerść miękka, namacał bliznę.

— Nikt w dżungli nie wie — mówiła Baghere — że ja mam to znamię — znamię od obroży. A jednak, braciszku, urodziłam się między ludźmi i wśród ludzi umarła moja matka, w klatce królewskiego pałacu w Oddeypore. Dlatego to wykupiłam cię, gdy byłeś małym, bezbronnym golaskiem. Tak i jam się urodziła wśród ludzi. Nie znałam dżungli. Karmiono mnie za kratkami w żelaznym kociołku. Wreszcie pewnej nocy poczułam, że jestem panterą, a nie zabawką dla człowieka. Jednem uderzeniem łapy złamałam kratę i uciekłam. A potem — że to między ludźmi nabrałam rozumu i poznałam ich sposoby i wybiegi — stałam się postrachem dżungli i jestem groźniejszą nawet od Shere Khana. Nieprawdaż?

— Tak potwierdził Mowgli z zapałem — cała dżungla boi się Baghery... cała dżungla, oprócz małego Mowgli.

— O! ty jesteś małym człowiekiem — rzekła pantera z niewymowną czułością — i tak samo jak ja powróciłam do dżungli, tak ty musisz wracać do ludzi, którzy są twoimi braćmi... jeżeli wpierw nie zostaniesz zgładzony na radzie.

— Ale za cóżby mnie chcieli zgładzić? — pytał Mowgli.

— Spojrzyj na mnie — rzekła Baghera.

Mowgli spojrzał jej prosto w ślepia. Ogromna pantera odwróciła głowę w niecałe pół minuty.

— Oto dlaczego — rzekła. — Ja nawet nie mogę patrzeć w twe oczy, a jednak urodziłam się wśród ludzi i kocham cię, braciszku. Tamci nienawidzą ciebie, bo ich ślepia nie mogą wytrzymać twojego spojrzenia; bo jesteś rozumny, bo im wyciągałeś z łap kolce, boś jest człowiekiem...

— Nie przychodziło mi to na myśl — rzekł Mowgli z zadąsaniem.

I czarne brwi zmarszczył.

— Po twojej lekkomyślności widać, żeś jest człowiekiem. Ale bądź ostrożny. Gdy pierwszy raz stary Akela chybi swą zdobycz — a codzień mu trudniej łowić kozła — gromada zwróci się przeciw niemu, a wtedy i przeciw tobie się zwróci... Wiem już, co masz zrobić. Słuchaj! — zawołała, zrywając się nagle — zbiegnij co tchu do ludzkich szałasów na dolinę i uszczknij czerwonego kwiecia, które oni hodują, a gdy zła chwila nadejdzie, będziesz miał sojusznika potężniejszego nawet odemnie i od starego Baloo, potężniejszego od tych wszystkich którzy cię kochają. Idź po czerwone kwiecie.

Czerwonym kwiatem Baghera nazywała ogień, bo żadne stworzenie w dżungli nie nazwie go mianem właściwem. Każdy zwierz do końca życia boi się go śmiertelnie i wynajduje tysiące określeń, byle ognia wprost nie wymienić.

— Kwiat czerwony? — zapytał Mowgli. — Ten, który wzrasta za szałasami o zmroku. Pójdę po niego i zerwę.

— Tak winno przemawiać dziecię człowiecze! — zawołała Baghera z dumą. A pamiętaj, że ten kwiat rośnie w małych garnkach. Uszczknij jeden i miej go na wszelki wypadek.

— Dobrze — odpowiedział Mowgli. — Idę już. Ale czyś pewna, Baghero — zarzucił jej ręce na szyję i zajrzał w jej duże oczy — czy ręczysz, że to wszystko sprawka Shere Khana?

— Na złamany zamek, któremu wolność zawdzięczam, ręczę, że tak jest, braciszku.

— A więc na wołu, które mi życie ocalił, zapłacę Shere Khanowi, com mu winien, a zapłacę rzetelnie, może nawet dostać więcej, niż mu się należy.

I Mowgli puścił się kłusem.

— To człowiek prawdziwy — myślała pantera, wyciągając się na trawie. O! Shere Khan, żadne łowy nie dadzą ci się tak we znaki, jak ów pościg przed laty dziesiesięciu za małą Żabką.

Mowgli był już daleko w leśnym gąszczu, biegł szybko, a czuł w piersi serce odważne.

W chwili gdy mrok wieczorny opadał, stanął u wejścia do jaskini, wysapnął się, odpoczął i spojrzał w dół na dolinę.

Wilcząt nie było, ale matka Wilczyca leżała w jaskini i po jego przyśpieszonym oddechu odgadła, że coś jej Żabkę trapi.

— Co ci jest, synku? — spytała.

— Porobiono plotki na Shere Khana — odrzekł. — Schodzę do ludzi.

I zapuścił się w krzaki.

Nagle stanął, bo doleciał go wrzask polującej gromady i bek tropionego kozła, a potem urągliwe poszczekiwanie: to młode wilki drwiły z wodza, wołając:

— Akela, Akela! Niech samotnik pokaże co umie. Z drogi przed wodzem! Skakaj, Akela!

Samotnik musiał skoczyć i zapewne nie złapał zdobyczy, bo Mowgli usłyszał, jak zębami szczęknął, a potem zawył żałośnie. Kozioł mu się wyślizgnął i przedniemi łapami go przewrócił.

Dziecko popędziło naprzód; wrzaski słabły, w miarę jak zbliżał się do gruntów uprawnych, gdzie mieszkali wieśniacy.

— Baghera miała słuszność — myślał, zaszywając się pomiędzy siano, skopione pod oknem jakiejś chatki. — Jutro dzień zagłady dla mnie i dla Akeli.

Przyłożył twarzyczkę do szyby i wpatrywał się w ogień na kominie: widział, jak żona wieśniaka wstawała w nocy i podsycała płomień czarną wiązką, a gdy przyszedł ranek i powstały chłodne opary, zobaczył, jak dziecko człowiecze — chłopak, nie większy od niego — wziął garnek, napełnił go węglami, w jakąś płachtę owinął i poszedł paść krowy.

— Więc to tylko tyle? — pomyślał Mowgli. — Jeżeli dziecko może sobie z tem dać radę, to ja nie mam się czego obawiać.

Wyskoczył z za węgła chaty, zagrodził drogę malcowi, wyrwał mu z rąk ogień i zniknął wśród zarośli, podczas gdy tamten wielki wrzask podnosił.

— Oni zupełnie do mnie podobni — mówił sobie Mowgli, dmuchając na garnek z żarem, tak, jak to robiła wieśniaczka. Ten kwiat zwiędnie, jeżeli mu jeść nie dam...

Rzucił na węgle kilka gałązek i trochę kory.

Wpół drogi spotkał Bagherę. Rosa poranna błyszczała na jej czarnem futrze, jak gwiazdy na tle ciemnego nieba.

— Akela nie utrafił — rzekła pantera. — Zabiliby go już wczoraj, ale chcą go zgładzić razem z tobą. Szukali cię już wszędzie.

— Byłem na gruntach uprawnych. Jestem już gotów. Patrzaj!

Mowgli pokazywał jej garnek z węglami.

— Dobrze!... A teraz dowiedz się, że ludzie rzucają suche gałęzie, a wtedy czerwony kwiat rozkwita,.. Czy ty się nie boisz?

— Nie. Czemuż się mam bać? Teraz pamiętam... jeżeli to nie sen... że zanim zostałem wilkiem, kładłem się przy czerwonym kwiecie i było mi ciepło i miło.

Przez cały dzień Mowgli siedział w jaskini i czuwał nad swoim garnkiem: rzucał ciągle suche gałęzie na węgle, żeby zobaczyć, jak się palą. Wreszcie znalazł gałąź grubszą, taką, jakiej mu było potrzeba, a wieczorem, gdy Tabakwi przyszedł do jaskini i bardzo butnie mu oznajmił, że go czekają na Skale Rady, chłopak roześmiał się i śmiał się tak długo, aż szakal uciekł wystraszony.

Śmiejąc się wciąż, poszedł Mowgli na Radę.

Akela samotnik leżał obok swojego kamienia, na znak, że dowództwo gromady jest do objęcia, a Shere Khan, ze swoim orszakiem wilków, żyjących jego ogryzkami przechadzał się po płaskowzgórzu i zbierał pochlebstwa.

Baghera leżała u nóg małego Mowgli, który trzymał garnek z żarem.

Gdy się wszyscy zeszli, Shere Khan głos zabrał, na coby sobie nigdy nie pozwolił za świetnych czasów Akeli.

— Nie ma prawa — mruknęła Baghera. — Powiedz mu!... To psi syn!... Przelęknie się.

Mowgli zerwał się na równe nogi.

— Wolny ludzie! — zawołał. — Czyli Shere Khan jest naszym wodzem? Cóż tygrysowi wtrącać się do gromady wilków?

— Widząc, że dowództwo wakuje, a będąc proszonym o zabranie głosu... — zaczął Shere Khan.

— Kto cię prosił? — podchwycił Mowgli. — Czyżeśmy narodem szakali, by schlebiać temu rzeźnikowi?

Młode wilki zawyły:

— Milcz, ty człowiecze plemię!

Inni wołali:

— Pozwólcie mu przemawiać. Zachowywał nasze prawa.

Wreszcie starsi z gromady zagrzmieli:

— Dajcie głos »zdechłemu wilkowi!«

Albowiem, gdy wódz gromady zdobycz swą chybi, nazywają go »zdechłym wilkiem« do końca życia, a życie to bywa niedługie.

Akela z trudnością stary łeb podniósł i tak przemówił:

— Wolny ludzie i wy, szakale Shere Khana, przez lat dwanaście wiodłem was na łowy i powracaliście z łupem obfitym, a przez te lat dwanaście ani jeden nie wpadł we wnyki, ani też jeden nie okaleczał. Chybiłem moją zwierzynę. Wy sami wiecie najlepiej, jak się to stało. Wiecie, żeście napędzili na mnie kozła narowistego, aby moją słabość wykazać. Było to zręcznie zrobione. Macie prawo zabić mnie tutaj, na Skale Rady. Więc pytam? kto zgładzi starego Samotnika? Bo prawem mojem, prawem dżungli, jest, byście się na mnie rzucali po jednemu.

Zaległo milczenie: żaden wilk nie chciał walczyć na śmierć z Samotnikiem. Wtedy Shere Khan ryknął:

— Ba! cóż mamy się porać z tym głupcem bezzębnym. Jest na śmierć osądzony i umrze niebawem. Ale ten bachor człowieczy żył już za długo. Wolny ludzie, od pierwszej chwili był on moim. Dość już tego bawienia się w pół-wilka. Dziesięć lat trwała ta zabawa. Czas już jej koniec położyć. Darujcie mi dziecię człowiecze, bo inaczej będę zawsze polował tutaj, a wam nie zostawię ani kosteczki. To człowiek, dziecko człowiecze — więc go nienawidzę, a ta nienawiść do szpiku moich kości przenika.

Wtedy większa połowa gromady zawyła:

— Człowiek, człowiek! Cóż człowiek ma z nami wspólnego. Niech wraca do równych sobie.

— Tak? Żeby nasłać na nas wszystkich mieszkańców doliny! — zaryczał Shere Khan. — Nie, nie, dajcie mi go! To człowiek i żaden z nas nie śmie mu spojrzeć w oczy.

Akela znowu łeb podniósł i rzekł:

— Dzielił on naszą strawę, spał z nami. Napędzał dla nas zwierzynę. Nie zgwałcił w niczem prawa dżungli.

— A ja wkupiłem go do gromady kosztem tłustego wołu. Tłusty wół wart niewiele, ale honor Baghery coś znaczy, a i pazury także. Baghera nie cofnie się przed walką i może niejednego trupem położyć — mówiła pantera głosem słodkim.

— Wół był dobry przed laty dziesięciu, ale nie dzisiaj — mruknął któryś z gromady. — Cóż nam po kościach spróchniałych?

— A przysięga? — podchwyciła Baghera, błyskając białemi zębami. — Niedarmo nazywacie się wolnym ludem!

— Dziecko człowiecze nie powinno biegać z narodem dżungli — ryknął Shere Khan. — Dajcie mi go tu zaraz!

— Jest naszym bratem we wszystkiem, prócz we krwi — począł znowu Akela — a wy go chcecie zabić! O tak, żyłem za długo. Żrecie już bydło, a ten i ów, śladem Shere Khana, porywa nawet dzieci z progu chat wieśniaczych. Jesteście nikczemni tchórze i do tchórzów przemawiam. Życie moje niewiele już warte, inaczej oddałbym je w zamian za życie tego malca. Lecz dla ocalenia honoru gromady... honor, to rzecz dla was błaha, chodząc samopas, bez wodza, zapomnieliście o nim zupełnie. Otóż obiecuję, że jeżeli dacie człowieczemu dziecku wrócić do równych sobie, ani zębem nie błysnę, gdy przyjdzie na mnie czas umierać. Zginę bez walki. Gromada zyska na tem ze trzech wilków co najmniej. Nic więcej zrobić nie mogę, ale jeżeli się na to zgodzicie, to wam oszczędzi wstydu zabijania brata, któremu nic zgoła zarzucić nie można... brata, który został wkupiony do gromady, zgodnie z ustawami dżungli.

— To człowiek! To człowiek! — mruczało zgromadzenie.

I większość skupiała się około Shere Khana, który ogonem wywijał, jak pies, gdy mu wesoło.

— Teraz w twojem ręku sprawa — rzekła Baghera do swego ulubieńca. My już nic nie poradzimy, możemy się tylko brać za łby.

Mowgli wstał z garnkiem węgli w ręku, przeciągnął się i ziewnął wobec dostojnej Rady, ale w sercu jego wzbierała boleść, bo po raz pierwszy słyszał, że go nienawidzą.

— Słuchajcie! — zawołał. — Na nic się nie zda to psie szczekanie. Powtórzyliście mi już dzisiaj tyle razy, że jestem człowiekiem, (a jednak byłbym został wilkiem z wami aż do końca życia), że poczułem prawdę słów waszych. To też nie nazywam już was braćmi, lecz psami, tak jak by was nazwał człowiek... Co zrobicie, a czego nie zrobicie, nie wam oznajmiać. To rzecz moja. Żeby sprawę wyświetlić, ja człowiek, przyniosłem tu trochę czerwonego kwiatu, którego wy, psy, boicie się.

Rzucił garnek na ziemię, rozsypały się węgle, sucha trawa buchnęła płomieniem. Wilki uciekły przerażone.

Mowgli wsunął gałąź w ogień i trzymał ją aż się zajęła. Potem zaczął nią wywijać nad głową; wystraszone wilki czołgały się po ziemi.

Pochodnia płonęła i rzucała iskry, Mowgli siekł nią na prawo i lewo, a wilki uciekły skowycząc ze strachu i bolu, bo iskry szerść im smaliły.

Wreszcie pozostali tylko Akela, czarna pan-

tera i z dziesięć starych wilków, przyjaciół człowieczego dziecka.

Wtedy Mowgli uczuł, że go coś szarpie i boli w głębi piersi. Tchu nie mógł złapać aż wreszcie grube łzy poczęły mu spływać po twarzy.

— Co to? Co to takiego? — pytał. — Żal mi opuszczać dżunglę... I nie wiem sam, co mi jest... Czy to ja umieram, Baghero?

— Nie braciszku. To tylko łzy. To się zdarza ludziom — tłómaczyła Baghera. — Teraz widzę, że jesteś już nie człowieczem dzieckiem, ale człowiekiem prawdziwym. Daj im płynąć Mowgli. To tylko łzy.

Wtedy Mowgli usiadł i zapłakał tak rzewnie, jakby mu serce miało pęknąć.

— Teraz — rzekł wreszcie — powrócę do ludzi, ale wpierw muszę moją matkę pożegnać.

I poszedł do jaskini, gdzie z ojcem Wilkiem mieszkała matka Wilczyca, znowu na jej siwej szerści się wypłakał, a wilczęta zawodziły żałośnie.

— Nie zapomnicie o mnie? — pytał Mowgli,

— Nigdy! — upewniały. — Gdy zostaniesz człowiekiem, przychodź na stok wzgórza, będziemy tam chodzić po nocy i z tobą się bawić i gwarzyć.

— Wracaj rychło — rzekł ojciec Wilk. — Wracaj niebawem, bośmy już starzy i ja i matka.

— Powrócę z pewnością — obiecywał Mowgli — powrócę bodaj dlatego, żeby rozpostrzeć skórę Shere Khana na Skale Rady. Nie zapomnijcie o mnie. Powiedźcie i tamtym, żeby o mnie pamiętali.

Zorza zaczynała już świtać, gdy Mowgli zstępował ze wzgórza, szedł sam, a dążył do owych istot tajemniczych, które się ludźmi zowią.

Z pism i książek.

Jerzy Brandes, Lwów. Z upoważnienia autora przełożyła z oryginału Józefa Klemensiewiczowa. Nakład księgarni H. Altenberga 1900.

„Jednym z warunków powiedzenia prawdy jest jej znajomość. A ja nie sądzę, abym znał prawdę o Polsce pod rządami Austrji“, — mówi Brandes we wstępie do swego szkicu, noszącego niczem nieusprawiedliwiony tytuł „Lwów“, bo ani opisem miasta, ani historją, ani też obrazem jego z dzisiejszej doby nazwać chyba nie można luźnych wspomnień osobistych z przyjęć, uczt, owacji, których Lwów nie szczędził swemu gościowi. — Szczerem wyznaniem, że prawdy o nas nie zna, autor rozbraja do pewnego stopnia czytelnika. Z uśmiechem też przebiega się kartki jego dzienniczka, kiedy opowiada, że Styka w jednym „wspaniałym obrazie objął historję Polski“, że sławny ze swej waleczności Kajetan Janowski podejmował go w Tow. weteranów 1863 r.“, że kobiety niezamężne są u nas tak pozbawione samodzielności, że „nie mogą nigdy, bez wyjątku nigdy, wyjść bez opieki, czy to w dzień, czy wieczorem“ (str. 33); — z tym samym uśmiechem pobłażliwości dowiadujemy się dalej, że „wstrętny, spokojnie bezczelny, wiecznie pytający dziennikarz“ u nas bywa „dwa razy nieznośniejszy, bo gdy nosi starożytne (?) nazwisko ma przystęp wszędzie, umie teroryzować ludzi, a zwłaszcza kobiety, które zaopatruje w najnowsze anegdoty i skandale“ (str. 31). Gdy jednak autor potrąca o zagadnienia wyższej wagi, co na szczęście zdarza mu się rzadko, uśmiech nasz znika bez śladu. Dzieje się to wówczas np., gdy duński krytyk ubolewa, że nietolerancja nasza względem żydów „nie odpowiada wcale ideałowi wolności“, że ,,Polacy tam, gdzie mają władzę bynajmniej nie wprowadzają w czyn wolności, o którą, jako uciemiężeni, walczą.“ I na czemże to opiera sąd tak ostry? Oto na fakcie następującym: gdy ,,przeszłego roku — pisze — nabył bogaty ród żydowski dobra polskie, oburzyła się bardzo okoliczna ludność. I nietylko okoliczna ludność... Owym właścicielom dóbr groziła utrata życia i zmuszeni byli kupno cofnąć.“ Przytoczeniem takiego przykładu załatwia się autor ze sprawą szybkiego wywłaszczania z ziemi ludności miejscowej przez żydów. Gdyby jednak zajrzał do naszych dworów, do naszych wiosek i zobaczył kto tam gospodaruje i jakie owoce przynosi ta gospodarka, przekonałby się, że daleko mniej jeszcze ,,zna o nas prawdy“, niż to sam przypuszcza, a co najmniej przyznałby, że można, nie uwłaczając ideałom wolności, pragnąć, aby ziemia polska pozostała w rękach ludu polskiego.

Niemniej opaczne ma pojęcie Brandes o stosunku naszym do Rusinów, skoro sądzi, że gdyby był wziął udział w uroczystości literackiej bratniego nam plemienia, „ten krok byłby uważany przez Polaków za rodzaj zdrady z jego strony“. Posuwa też kurtuazję swą dla tych, co go „podejmują“, tak daleko, że mimo dwukrotnie daną Rusinom obietnicę, nie idzie do nich.

Dziennik Brandesa poprzedza szczere i ciepłe słowo wstępne p. J. Klemensiewiczowej. Na jedno tylko trudno, a raczej niepodobna zgodzić się z szanowną tłumaczką. Przeceniając niepomiernie znaczenie dzieła Brandesa o Polsce, p. J. K. nazywa duńskiego krytyka ,,odważnym mężem, który nie wahał się Europie, uważającej nas za naród, z jej karty wydarty, dowieść, że istniejemy i mamy wszakże prawo do bytu samodzielnego“. Na ostateczną zagładę, na śmierć bez zmartwychpowstania zasługiwałby naród, o którego istnieniu i prawach do bytu, świat dowiadywałby się dopiero z fejletonów obcego pisarza. Tak źle z nami nie jest. Polska, stojąc na wszystkich polach sztuki, wiedzy i nauki obok narodów żywych, sama mówi o swem istnieniu Europie, — mówi pendzlem swych mistrzów, natchnioną pieśnią wieszczów, dziełami uczonych. Polska, nieprzejednana Polska, od stu lat ukazująca się Europie w chwale i krwi walk o niepodległość, sama dowodzi swych praw do samodzielnego bytu.

Zewnętrzna strona ,,Lwowa“ Brandesa wygląda nader wabiąco dla oka. Tłumacz i wydawca uczynili wszystko, co mogli, aby podnieść wartość wydawnictwa.

M. W.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.